

Józef Nehring

*Byłem Polakiem
i Polakiem zostanę*



Obóz w Potulicach

Obóz w Potulicach został otwarty 1.02.1940 r. i na początku organizacyjnie podlegał pod obóz w Stutthofie. Najpierw mieścił się w pałacu, który w spadku rodzina Potulickich przekazała Kościołowi Katolickiemu, jego przybudówce oraz w dawnych warsztatach klasztornych. W 1942 r. pobudowano obok dodatkowe baraki z sanitariatami. Przez ten obóz przeszło ok. 25 tys. osób. Na Potulickim cmentarzu spoczywa 1300 więźniów, w tym ok. 800 dzieci.

Z Jabłonowa do Potulic zostaliśmy przewiezieni samochodem ciężarowym 14 listopada 1942 r. Po przybyciu przydzielono nam numery lagrowe, które każdy z członków rodziny, włącznie z dziećmi, był zobowiązany nosić zawieszony na szyi (mój numer – 958 g). Umieszczono nas w pomieszczeniach starego pałacu, przydzielając miejsce na poddaszu, niedaleko okna. Warunki były trudne, ludzi wręcz poupychano w niewielkim pomieszczeniu. Wszyscy więźniowie spali jeden przy drugim, a para skraplała się na suficie i spadała na nas. Przez ostatnie pół roku mieszkaliśmy w tzw. nowym lagrze. W nowych barakach każdy miał swoją prycę, ale nadal dokuczało nam robactwo, zwłaszcza wszy i pluskwy, których zwykłe mycie nie zabijało. Przez cały pobyt w tym obozie, jak i wcześniej w poprzednich obozach, chodziliśmy w swoich ubraniach. Nikt nie interesował się, że ulegają one zniszczeniu, są podziurawione i zwyczajnie za małe. Pewne kobiety je flekowały i używano ich nadal. Uwięzieni nie nosili specjalnych, widocznych z daleka, odznaczeń, nawet jeśli cała grupa wychodziła do pracy poza obóz. Inaczej było, gdy ktoś miał indywidualną przepustkę do pracy poza obozem. Wtedy zakładał na ramię opaskę z napisem „P”. Jedynie karne komanda nosiły żółte chustki i żółtą opaskę.

Pożywienie było takie jak w obozie w Toruniu. Pamiętam, że wydawał je mały kucharz zwany Ruskiem, który przy nalewaniu zupy jeszcze połowę jej wylał. Więźniowi przysługiwało około litra zupy, chociaż często to była sama woda bez jakiegokolwiek kartofla. Więźniowie bardzo pchali się w kolejce po jedzenie, dlatego Rusek kopyścią⁶ bił wszystkich po głowach. Często uderzał tak mocno, że aż się lała krew. Pomimo bicia wygłodzeni więźniowie nie przestawali się pchać. Głód towarzyszył nam przez cały pobyt w obozie.

⁶ Kopyś = chochla, łyżka do nalewania zupy.

Mojego ojca zaraz po przybyciu do obozu skierowano do pracy, która polegała na nadzorowaniu korytarzy piwnic pałacu, w których przebywali więźniowie odbywający karę. Do pracy chodził głównie w nocy, gdzie panującą ciszę zakłócały krzyki i jęki umęczonych, głodnych ludzi. Siedzący w karcerze prosili chociażby o podanie wody, co było w zasadzie niemożliwe, ponieważ drzwi cel były pozamykane. Mój ojciec znalazł jednak sposób i poprzez dziurkę od klucza słomką podawał więźniom wodę. Patrzenie na cierpienie tych ludzi było dla niego strasznym przeżyciem. Po pewnym czasie ojca przeniesiono do innej pracy.

W lagrze w Potulicach dzień upływał inaczej niż w Toruniu z racji obowiązku chodzenia do pracy w warsztatach. Ja wraz z moją najstarszą siostrą Lukardą zostałem skierowany do pracy w szwalni, w której szyto ubrania dla wojska. Kierownikiem szwalni był Niemiec Szulc (Firma Schultz BCO B. Betriebewe Lobrschrsdorf). Pracowałem jako pomoc przy naprawie maszyn szwalniczych od 1942 r. do 21 stycznia 1945 r. Miałem wtedy 13/14 lat. Praca odbywała się na dwie zmiany, w dzień i w nocy. Moja siostra Lukarda zajmowała się segregacją ubrań zagrabionych Żydom. Do obozu w Potulicach bowiem przywożono Żydów z całym dobytkiem, który im następnie zabierano. Dodam, że przy wywożeniu i wysiedleniu Niemcy dawali do zrozumienia, aby zabrać z domu wszystkie cenne rzeczy i kosztowności. Żydzi pozostawali w obozie zaledwie kilka dni, po czym samochodami wywożono ich prawdopodobnie do obozów koncentracyjnych lub rozstrzeliwano w okolicy.

Początkowo byłem w grupie kilku chłopców, których zadaniem była pomoc przy przyszywaniu skórek na wojskowe spodnie. Musieliśmy je wyciągać i przybijać gwoździkami, aby się rozciągnęły /tzw. leje do spodni/. Z czasem kierownik szwalni wybrał mnie do pomocy w warsztacie, byłem jego pomocnikiem. Pomagałem i uczyłem się naprawiać maszyny szwalnicze. Początkowo byłem z tego zajęcia niezadowolony, głównie z powodu braku towarzystwa kolegów. Chciałem mieć okazję do rozmowy, a tu przebywałem tylko z panem inżynierem. Po kilku dniach, spędzonych pod okiem inżyniera postanowiłem uciec od mojego „majstra”. Przyznam, że mogło to się dla mnie źle skończyć. Interweniowała moja siostra Lukarda, która trochę mówiła po niemiecku i dowiedziała się od wachmanów, że porzuciłem pracę. Prosiła mnie, bym dobrowolnie wrócił, ponieważ była to dla mnie okazja, aby się czegoś nauczyć. Poza tym zajęcie to chroniło mnie przed inną, znacznie cięższą pracą. Z czasem majster nabrał do mnie

zaufania, ponieważ szybko się uczyłem i dużo rzeczy potrafiłem zrobić. Pan Szulc okazał się dla więźniów przyjaznym Niemcem. To on uszył mi z czarnego koca spodnie, które miałem na sobie w chwili wyzwolenia obozu. Były grube i ciepłe. Jego córka kiedyś podała mi nawet kawałek chleba. Cieszyłem się, że mogłem się nim podzielić z innymi.



Obóz w Potulicach. Józef Nehring (pierwszy od lewej) pracował w szwalni, naprawiając maszyny do szycia. Zdjęcie wykonano w obozie przy potulickim pałacu.

Rano dyżurny budził więźniów dzwonkiem. Większość mojego rodzeństwa chodziła do pracy. Moja mała siostra Jadwiga chodziła z dziećmi do lasu zbierać jagody. Wspomina, że po drodze niemieckie dzieci rzucały w nie kamieniami, a eskortujący je wachmani w ogóle nie reagowali. Mój starszy brat Mieczysław naprawiał samoloty (Firma Hansen), a brat Władysław pracował w stolarni. Ojciec nasz pracował w pobliskim majątku. Rano wychodził do pracy i wracał wieczorem. Powracający do obozu byli rewidowani przez wachmanów, czy nie chcą czegoś wniesć za bramę. Kiedy przy którymś z lagrowców znaleziono na przykład parę kartofli, to często bito go aż do nieprzytomności. Pewnego dnia ojciec też miał kartofle, kiedy zarządzono rewizję. Na szczęście przerwano ją w chwili, gdy miał być rewidowany. Uchroniło go to przed okrutną karą. Po kilku miesiącach ojca skierowano do pracy do innego majątku. Mieszkał poza obozem, więc zostaliśmy tylko z naszą mamą.

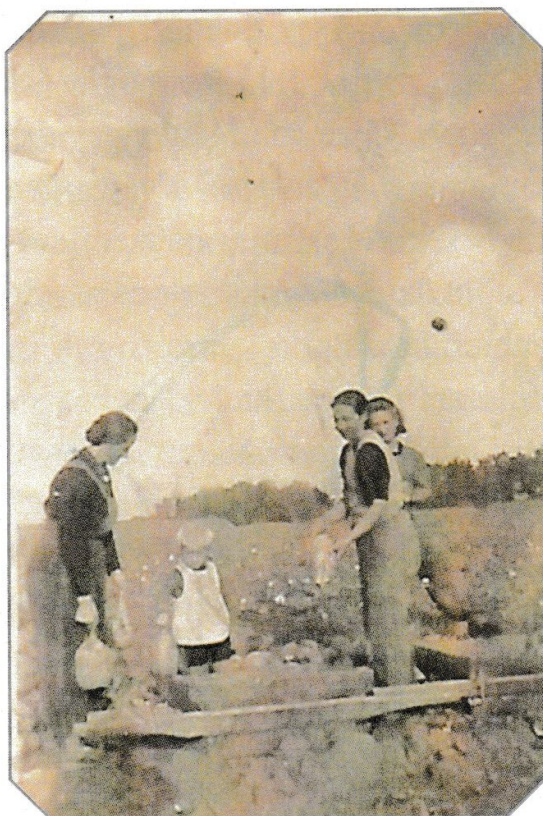
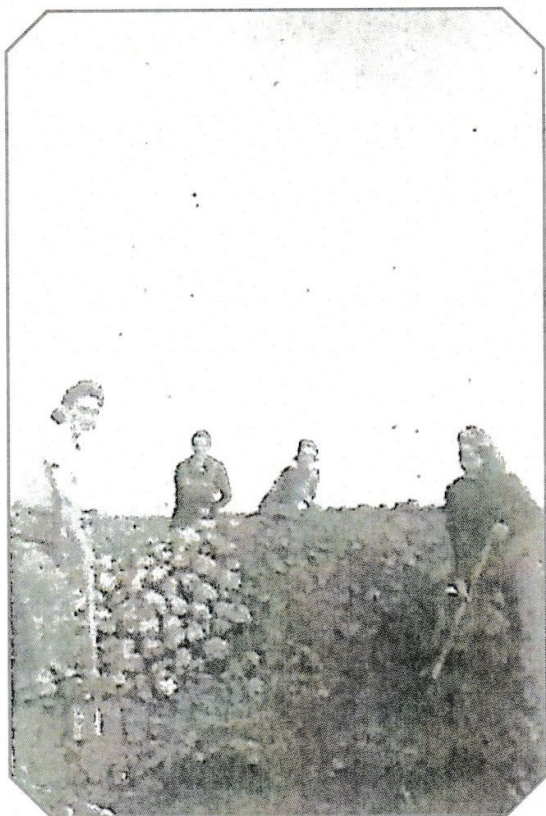
Baliśmy się ogromnie momentu wybierania kobiet, które były z lagru kierowane do pracy na majątki, gdzie pozostawały na dłuższy okres. Pomimo strachu postanowiliśmy ukrywać naszą mamę, by nam jej nie zabrano. Mama kładła się i następnie przykrywaliśmy ją wszystkimi możliwymi rzeczami. Cichutko leżała, ja sprawdzałem, czy Niemcy zakończyli wybieranie. Dokonywali tego na zasadzie odliczania zgromadzonych kobiet na placu apelowym. Ukrywając mamę, czułem się ważny i odpowiedzialny za los rodzeństwa. Kiedy wybór był zakończony, odkrywałem mamę i strach mijał. Cieszyliśmy się za każdym razem, kiedy udało się uchronić ją przed wywózką poza obóz. Nie wyobrażaliśmy sobie, żebyśmy zostali bez opieki matki. Nie wiem, co wtedy by się z nami stało.

W Potulicach szczególnie zagrożeniem dla życia ludzkiego były choroby. Ja prawie nie chorowałem, ale nie ominęły one innych członków rodziny. Moja siostra Irena i brat Mieczysław zachorowali na tyfus, więc zabrano ich do szpitala. Po pewnym jednak czasie wrócili do nas do obozu. Później Mieczysławowi przytrafiła się też inna tragedia. Wraz z ojcem został on skierowany do pracy przy noszeniu drewna z pobliskiego lasu. Nadzorujący ich Niemiec kazał ojcu i bratu wziąć i trzymać drążki, na które inni więźniowie nakładali kłody drzewa. Specjalnie nakazał kłaść dużo, do tego momentu, aż słabszy fizycznie Mieciu nie utrzymał ciężaru i wypuścił wszystko z rąk. Rozwścieczony esesman niemiłosiernie zaczął bić go kolbą karabinu aż do utraty przytomności. Ojciec, stojący obok, chciał stanąć w jego obronie, ale brat prosił, by tego nie robił z obawy, że ukarzą całą rodzinę, a nawet zabiją. Ojciec głosem rozsądku powstrzymał się i ostatecznie nie stanął w obronie syna. Miecia współwięźniowie przynieśli do obozu. Przeżył to pobicie, ale na jego piersiach powstał guz. Był tak poważnie chory, że Niemcy mieli już zamiar przekazać go do gazu. Jednak polski lekarz lagrowy pod wpływem naszej mamy poprosił strażników, by mógł przeprowadzić operację. Zwykłym nożem usunął bratu guz i oczyścił płuca. Operacja się udała, ale brat do końca życia miał dużą bliznę na piersiach. Ten przykład pokazuje, jak Niemcy w obozie znęcali się nad Polakami. Gestapowiec specjalnie kazał nałożyć tyle drewna, by mieć okazję do pobicia. Chciał zapewne pokazać swoją wyższość.

Nad Polakami znęcali się również tzw. kapo – wybierani spośród samych więźniów. Byli to wysocy mężczyźni, którzy nosili przy sobie coś w rodzaju bicia. Gdy kapo zauważył niedozwolone zachowanie więźnia, to używał tego narzędzia. Często bił mocniej niż Niemiec, bo chciał się

hitlerowcom przypodobać i podchlebić. Polak bił Polaka. Raz przydarzyła mi się przygoda, która mogła zakończyć się takim dotkliwym pobiciem przez kapo. O zmroku stałem w drzwiach baraku i bawiłem się latarką, na przemian ją włączałem i wyłączałem. Niespodziewanie nadszedł kapo z biczem w rękę, a ja mu poświęciłem po oczach. Ogarnął mnie strach, ale za mną stała dziewczynka młodsza ode mnie o rok. Błyskawicznie zareagowała, zabierając latarkę z moich rąk i uciekając. Kiedy kapo mnie przeszukał, nie miałem już latarki przy sobie i to mnie uratowało przed okrutnym pobiciem. Dobrze wiem, że za taki czyn byłbym ukarany.

Często los więźniów zależał od humoru pilnujących strażników, szczególnie tych stojących wokół ogrodzenia lagru. Zwłaszcza było to ważne podczas odwiedzin. Czasem strażnik krzyknął *schnell, schnell*, co oznaczało, żeby szybko podać paczkę i odejść, a innym razem potrafił strzelać do podchodzących pod bramy obozu. W jedną niedzielę wolną od pracy moje starsze siostry Lukarda i Zosia pracujące w niedalekim od obozu majątku przy zbiorze buraków postanowiły nas odwiedzić. Cieszyliśmy się z ich odwiedzin, bo zawsze starały się nas czymś obdarować przerzucając jedzenie ponad drutami. Odwiedziny wyglądały tak, że rozmawiających odgradzały dwie siatki, aby nie było kontaktu fizycznego. I tym razem siostry przywiozły nam żywność, ale w trakcie przerzucania przez płot zostały zauważone. Władze obozowe podjęły decyzję o ich zatrzymaniu w obozie i osadzeniu w karcercie. Otrzymywały głodowe racje żywnościowe i oznakowane na żółto (żółte chustki i opaski) musiały wyruszać z całą grupą do pracy polegającej na przewożeniu wózkami kamieni. Te wózki nazywano rolkami, gdyż ciągnięto je na szynach. Siostra Lukarda miała wypadek, przygniótł ją wózek z kamieniami, łamiąc jej żebra. Na szczęście obie siostry przetrwały karcerc i powróciły później do nas, do baraku.



Zofia Nehring w pracy na majątku w okolicach Potulic.

W codziennym życiu więźniów ważna była modlitwa, oczywiście szepta-
na po kryjomu lub cichutko śpiewana. Każdy więzień wiedział, że za okazy-
wanie symboli religijnych groziła surowa kara. Szczególnie wyczekiwany
był okres Bożego Narodzenia. Pamiętam, że w jednym z baraków mogliśmy
podziwiać piękną, dużą choinkę. Stała ona w miejscu, w którym mieszka-
li sami dorośli i sprawni fizycznie mężczyźni. Choinka była ich dziełem.
Zachwycala nas, wszystko na niej wyglądało jak żywe. Zdawało się, że
wykonane z drewna lub słomy ptaszki różnego rodzaju za chwilę poruszają
się i odlecą. Więźniowie, którzy wykonywali tą choinkę, byli uzdolnieni
i pomysłowi. Wszystkie materiały do wykonania choinki znosili przez dłuższy
czas do baraku, wracając z pracy na majątku. Wspierali ich lagrowcy, któ-
rzy mieli stałe przepustki i nosili opaski z literą P na ramieniu. Oni sami,
bez wachmana, chodzili do przydzielonych prac i z łatwością przemycali do
obozu różne rzeczy.

Oto jak moja młodsza siostra Jadwiga opisała pobyt w obozie:

*Widziałam znęcanie się, ciągle rewizje w baraku, apele na mrozie,
śmierć z głodu i wycieńczenia - nie tylko dorosłych, ale i dzieci. Byłam mało
świadoma istniejącej sytuacji, byłam dzieckiem. Przez pewien czas uczy-
łam się języka niemieckiego razem z innymi dziećmi. Zajęcia prowadził je-*

den z więźniów. Zdarzało się, że wołał mnie oficer, który patrzył mi głęboko w oczy. Wtedy spuszczałam głowę i widziałam tylko jego błyszczące oficerki. Teraz zastanawiam się nad celem jego działań.

Mieszkańcami mojego baraku były w większości dzieci, nierzadko sieroty. Zdarzało się, że któreś umierało z głodu. Moją rodzinę wspierała babcia, która przysyłała paczki z chlebem i ukrytą wewnątrz słoniną. Mama dzieliła bochenek nie tylko między swoje dzieci. To był rarytas. Obozowa kuchnia dawała nam do picia kawę zbożową. Zupa z pokrzyw nikogo tam nie dziwiła. Byliśmy mało wybredni. Przeżyliśmy dzięki Opatrzności Bożej i naszej matce. Marzenia się spełniły. Wolni, chociaż schorowani, wróciliśmy do domu. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Świadczy o tym obozowy cmentarz.⁷

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
ul. Dworcowa 65, tel. 22-96-76
85-009 Bydgoszcz
0001040

Z a ś w i a d c z e n i e

Nasz znak Data
842-941 1989.05.12

Archiwum Państwowe w Bydgoszczy zaświadcza, że ob. Józef Nehring s. Władysława ur. 23 III 1930 r. został wysiedlony 12 listopada 1941 r. z miejscowości Targowisko b. powiat Nowe Miasto do obozu Centrali Przesiedlenczej w Toruniu, a następnie do obozu w Jabłonowie /CP-sygn.99/. Wymieniony 14 listopada 1942 r. został przekazany z Jabłonowa do obozu w Potulicach /CP-sygn.93/. W aktach brak daty zwolnienia z obozu. Zaznaczamy, że ob. Józef Nehring nie występuje w zachowanych rejestrach osób zwolnionych z obozu w Potulicach przed jego wyzwoleniem /21 I 1945 r/.

Zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia w Stowarzyszeniu Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę.

MR/TK

OPŁATA SKARBOWA
500 zł 500

DYREKTOR
Archiwum Państwowego
dr Janusz Kubiś

**Zaświadczenie z Archiwum Państwowego w Bydgoszczy potwierdzające pobyt
Józefa Nehringa w trzech obozach.**

⁷ Wspomnienia z niewoli Jadwigi Nehring-Kliniewskiej.

Wyzwolenie

Wraz z wieściami o nadchodzącym wojsku radzieckim Niemcy zaczęli odczuwać lęk i trochę rozluźniać dyscyplinę. Jednak cały czas obkopywali lagier, kopali dziury i grozili, że w razie walk wysadzą nas w powietrze. Na szczęście swojego planu nie zrealizowali, ponieważ Rosjanie nadeszli tak szybko, że Niemcy w pośpiechu musieli uciekać w stronę Nakła. Dla swojego bezpieczeństwa wzięli kilkunastu lagrowców, których poustawiali pomiędzy sobą. W ten sposób chcieli się zabezpieczyć przed atakiem wojska radzieckiego. O ile wiem w Nakle Niemców bardzo dużo zginęło. Na szczęście nikogo z naszej rodziny do tego wymarszu nie zabrano. W nocy, gdy hitlerowcy już uciekli, wraz z innymi poszedłem do opuszczonego majątku. Współwięźniowie znaleźli prosiaka, z którego mięsa przygotowali posiłek. Ktoś przyniósł cukier.

W Potulicach byliśmy osadzeni łącznie 2 lata i 6 miesięcy. Obóz ten wyzwolono 21 stycznia 1945 r. Po 3 latach i 3 miesiącach pobytu w niewoli w Toruniu, Jabłonowie i Potulicach mogliśmy wrócić do domu.